Rozmaitości

Dnia 13. Lutego Nr. 7. Roku 1841.

KOLEJE LOSU RENEGATA.

(WYPIS Z PAPIÉRÓW PO NIM POZOSTAŁYCH.)

PRZEZ PANA GROS-HOFFINGER.

(Dokończenie.)

IX.

Niedługo trwało, a szczęście, które do tychczas przez kraj mojego prześladowcy naszéj wędrówce sprzyjało, odwróciło się od nas zupełnie. Po wielu trudach i niebezpieczeństwach, dostaliśmy się na wybrzeże Czarnego morza. Zapasy nasze były wyczérpane, siły z-użyte, ilość nasza jeszcze bardziéj zmniejszona. Brzegi były tureckiémi statkami niepokojone i ciągle zwidzane, albo téż puste i nie zamieszkałe. Grubą mgłą okryte morze i widok bezludnéj puszczy, niemało przyczyniały się do zniechęcenia dzikiego umysłu mych towarzyszy. Nadaremnie zagrzéwałem ich nadzieją połączenia się z braémi, uzyskania sławy i zdobyczy w szeregach nieprzyjaciół Sułtana; nadaremnie pocieszałem ich, że za piérwszą pogodą ukażą się nam rossyjskie okręty; nie wierzyli moim przyrzeczeniom, i odpowiadali mi ponuro: »My cierpiémy głód.« Odtąd kupili się potajemnie i naradzali nad środkami utrzymania życia. Po wychudłych ich postaciach mogłem poznać, że w nich zgasła wszelka odwaga, wszelkie przywiązanie do méj osoby. Kryjąc w sercu zdradzieckie myśli, chodzili pomiędzy skałami z głową zwieszoną, jakby cienie z grobów wysłane; zamarło w nich wszelkie ludzkie uczucie. Dojmujący głód czynił ich coraz srozszymi. Powstała obojętność, a za nią wymówki; tém do żywego rozjątrony, rzekłem:

»Niewdzięczni! tażto jest odwaga i wytrwałość wasza, którąście mnie tylekroć przysięgali? Toż w istocie niczém inném nie jesteście, jak tylko wyrzutkami ludzkości? Nie czujecież w sercu waszém żadnego szlachetnego wzruszenia?«

»Naczelniku«, odrzekli ponuro, »mów co się tobie podoba, a daj nam jeść!«

Znaczenie moje upadło, fizyczna potrzeba zaczęła brać górę. Nędza i niedostatek nie doszły jeszcze do najwyższego stopnia, a już towarzysze moi duchem buntu uniesieni, oświadczyli mi jednomyślnie, iż mnie opuszczą, jeżeli w trzech dniach nie zaradzę ich potrzebie. Na tę groźbę odpowiedziałem im milczącą wzgardą. Zerwany został węzeł zaufania i wzajemnéj wdzięczności. Przyjaźń tych zbójców, tylekroć niegdyś na największe niebezpieczeństwa i doświadczenia wystawiona, była ostatnim węzłem, który mnie z człowieczeństwem łączył. Z boleścią serca patrzyłem na jego rozwiązanie, i głębiéj dotykała mię ta strata, aniżeli jakakolwiek późniéj. Zbyt wysoko oceniłem dzikie umysły, które tylko namiętność, interes i wytrącenie z towarzyskiego życia ze mną połączały. Przeciwieństwo ich charakteru z mojémi uczuciami, pomieszało do reszty mój zdrowy rozum. Chciałem się od nich oddalić i osobnémi drogami puścić za moim losem, ale z przestrachem spostrzegłem, że na każdy mój krok baczne mieli oko i skrytobójstwem mnie zagrażali. Ci sami przyjaciele, którzy tylekroć z własném niebezpieczeństwem życie moje ocalali, przyłożyli teraz broń do mojéj piersi z groźbą, że mnie zabiją, jeżelibym dla zdradzenia ich oddalić się poważył! Byłto ich własny zdradziecki zamysł, który ich do téj groźby zniewolił. Wyczytałem w ich oczach, że mnie dla zabezpieczenia życia swojego, moim prześladowcom wydać postanowili. Tylko niepewność pomyślnego skutku jeszcze ich od téj haniebnéj zbrodni wstrzymywała. Nieszczęsny, w téj chwili zamięszania zapomniałem, że ci nieszczęśliwi téj saméj zasady przeciwko mnie użyć chcieli, która i mnie, dla ocalenia większéj ilości, poświęcić Mustafę skłoniła! Sądy

nieba zaczęły mi równą miarą wymierzać sprawiedliwość straszliwą. Trzeci dzień był już na schyłku, z otrętwiałą obojętnością poglądałem na tajemne skinienia mych towarzyszy, w każdéj chwili zgubą mi grożących. Morze odsłoniło jasne zwiérciadło swoje, krwawo odbijało się w jego przestworzu zapadające słońce. Ustawiona czata na wzgórzu dała ostatnie hasło i oznajmiła nam, iż na horyzoncie nie widać żadnego ratunku. W ponurém milczeniu i z groźną miną wystąpili nikczemnicy przedemnie z rozkazem, ażebym szedł za nimi. Najodważniejszy z nich przystąpił ku mnie i schwycił mnie za ramię; ale zaledwo że się mnie dotknął, już go wystrzałem z pistoletu trupem położyłem. W czasie gdy on wołając o zemstę, we krwi się tarzał, zabiérałem się do nieszczęśliwéj walki z sześcią silnymi ludźmi, którzy pojmać mnie zamyślili. Ochraniali oni moje życie, dla uzyskania za nie wielkiéj nagrody; wszczęła się między nami rozpaczliwa walka, i już się zdawało, że pokonanym będę, gdy oto wystrzał czaty oznajmił, że jakiś okręt na morzu się ukazał. Byłto rozbójnik morski. Wkrótce porozumiawszy się z nim danemi znakami, zostaliśmy przez niego jako zwolennicy jego rzemiosła, do służby przyjęci. Ta zmiana losu nie bardzo była zdatna do rozweselenia mojéj smutkiem zaległéj duszy.

Łagodnym promieniem oświécało słońce krwawe sceny wojenne, ale żaden promień nie wpadł do zamroki duszy mojéj; ciało moje skrępowane było więzami, głęboko wkorzeniona choroba wyniszczyła siły moje. Dusza moja uległa pod ciężkiémi ciosami karzącéj sprawiedliwości nieba, rozum mój utracił władzę. Znosząc ból niewysłowiony, leżałem bez pomocy na spodzie okrętu w otrętwiałym śnie duszy, jako nieznośny ciężar dla moich towarzyszy, którzy ku wybrzeżom Azyi na rabunek się wybiérali. Upłynęło znowu kilka miesięcy, a nie ziściła się ich nadzieja, że gdy wyzdrowieję, zdatnego we mnie naczelnika zyskają; siły moje coraz bardziéj watlały, a obłąkany mój rozum nie rokował bynajmniéj polepszenia mojego zdrowia. Wtedy nielitościwi barbarzyńcy postanowili pozbyć się mnie i zawinęli do wybrzeża krajów kaukazkich. Nieczuli na moje boleści, wywlekli mnie z okrętu i wyrzucili na brzég morski. Tym sposobem zostałem wyłączony nawet od wyrzutków ludzkości, jako niezdatny członek bezprawnego ich towarzystwa i pozostawiony losowi, aby się ulitował nademną.

Leżałem długo bez pamięci na tém miejscu. Żagel korsarski wzdęty pomyślnym wiatrem, zniknął wkrótce z powierzchni morza. Zbliżył się czas wezbrania morza, a przecież niebezpieczeństwo to nie obudziło we mnie instynktu zachowania mego życia. Nakoniec zaszumiały fale, serce moje zaczęło cokolwiek bić mocniéj na widok zbliżającéj się śmierci. Aż oto nagle porywa powódź bezwładne ciało moje i rzuca niém o skaliste wybrzeże.

Mocne wstrząśnienie ciała, przenikliwe zimno, które gorączką rozpalone członki moje nagle orzeźwiało, gwałtowne działanie wzburzonéj fali na strętwiałe nerwy, ocknęły we mnie iskrę życia i przywróciły w części siły moje. Konwulsyjnie uczepiłem się stérczącéj skały i wdarłem się na szczyt, gdzie już mię powódź dosięgnąć nie mogła. Odzyskałem znowu przytomność zmysłów, gdyż jeszcze nie stanąłem u kresu cierpień, które dla mnie przeznaczone były. Zwolna przyszedłem do zupełnéj świadomości mojego położenia, i jakaś radość powstała mi duszy, żem w około siebie żadnéj ludzkiéj twarzy nie ujrzał.

»Dzięki tobie Alla«, rzekłem słabym głosem, »że okrucieństwo tych barbarzyńców uwolniło mnie od ludzkiego towarzystwa. Czy żyć będę, czy umrę, zawsze to będzie dla mnie pociechą przebywać z naturą w samotności. Oddalony od wszelkiéj nienawiści i fałszu, spokojnie rozmyślać będę nad dziwném przeznaczeniem tego bytu doczesnego, a może odkryję jaką prawdę, która mi ulgę w méj niedoli przyniesie. W towarzystwie zwiérząt, będę prowadził życie pustelnicze i zgłębiał prawdę, któréj w zgiełkliwém życiu dociec trudno.«

Z takiém przedsięwzięciem poszedłem w górach kaukazkich szukać schronienia. Członki moje prawie cudem uczerstwione, nie odmawiały mi dłużéj swojéj pomocy; ciało moje wzmocniło się śród balsamicznéj woni lasów. Unikając ludzi, żywiłem się korzónkami i dzikim owocem. Z tém wszystkiém niespokojny mój umysł, nie dał mi długo w tych miejscach bawić. Wziąwszy w rękę kij pielgrzymski, poszedłem w świat pomiędzy ludzi dla uważania obyczajów i podniety tajemnéj natury ich charakteru. Bez ustanku nasuwały się pod rozbiór mego rozsądku badawcze myśli, w jaki cel i koniec to wszystko stworzone, co my wszechświeciem zowiémy?

X.

Gdy zwątlona natura moja pod ciężarem nędzy uległa, odstąpiła odemnie wiara w Boga. Odtąd jako oderwany członek porządku świata, jako chorowity i wiecznéj zgubie poświęcony wyrodek, zostawałem ciągle w sprzeczności z obumierającym we mnie głosem sumienia. Nie

znalazłem nic, coby było do mnie podobne, jak tylko wieczną zgniliznę i kłamstwo. Każdy krok wprowadzał mię w ich ślady. W zwiędłych roślinach, w ginących źwiérzętach, w zwietrzałych skałach, w zarażonem powietrzu, w grobach i podziemnych sklepieniach, zgoła we wszystkiém, czego się tylko ręka śmierci dotyka, znalazłem takiż sam rodzaj zniszczenia, na który byłem skazany. Czego śród samotnéj natury zgłębić nie mogłem, spodziéwąłem się przez uważanie ludzi docièc. Widziałem dwadzieścia plemion azyjatyckich przed różnémi ołtarzami klęczących, a wszędzie znalazłem, iż stan duszy mojéj i myśli moje, same tylko wyrzutki ludzkości podziélały! Kto z społeczeństwa wytrącony w zbrodni pędził życie, kto chorobą trawiony ciérpiał obłąkanie, kto w przygodach i nieszczęściach postradał szlachetność serca, ten tylko ze mną miał jednakie czucie i myśli. Bylito filozofowie, wolnomyślni mężowie, mędrcy, oświeceni ludzie, a ci wszyscy byli w nędzy. Szczęśliwi tylko modlili się wszędzie do Boga! Coraz w większéj ciemnocie tonęła moja dusza, bez spoczynku i zamiaru szedłem w świat, i błąkałem się po nim, narzékając na wieczną noc: podobnie jak on wieczuie spragniony Tantal, widząc w około siebie wiecznie płynący zdrój życia, ginąłem z pożądania. Jasne dnia promienie stawiły mi na widoczu świat, a jam go nie widział; słońce paliło głowę moję, a me oczy kryła ciemność; ogień życia gorzał w mém sercu, ale mu nie przyświécał, bo światło mojéj duszy zagasło. Zapytywałem naturę, aby mi prawdę powiedziała; tysiącznémi głosy przemawiała ona do czystych umysłów, a dla mnie była niemą; pytałem ludzi o prawdę, słyszałem jak ich głosy się rozumiały, lecz dla mnie byłoto tylko babilońskie pomiészanie języków. Słyszałem martwe zgłoski, alem ich nie rozumiał. Niepojętém było dla mnie wszystko w stworzeniu. Jako całemu światu obcy, od nikogo nie uważany i nikogo nie uważając, przechodziłem macierzyńską ziemię w szérsz i dłuż. A jeżelim stanął kiedy u kresu możliwego człowieczego poznania, już znowu przez labirynt omamień i przez mylne wnioski wracałem do piérwotnego obłąkania. Wziąłem przekonanie, iż całym światem władną wiecznie niezbadane potęgi, że losem światów kieruje żelazne przeznaczenie, i témi pomysły uczyniłem krok stanowczy do zabobonu. Wcześnie zestarzały i nieszczęściami przeciężony mój umysł wrócił do dziecinnego niedołęctwa. Rok już mijał a duch mój nie mógł się ocknąć i tonął w okropnym zamęcie. Stanąłem na gruzach Szapuru, dawnéj stolicy perskiego państwa. Z smutkiem poglądałem na pomniki sławnych królów; tych pomników czedła mówiły mnie o ich wielkości i sławie, o których zabytki w Persepolis naocznie poświadczały. Byli oni, podług napisów na pomnikach, gorliwymi wielbicielami Ormuzda Wielkiego, a potęga jego wielkimi ich zrobiła. Kochali mądrość i sprawiedliwość, bo duch Ormuzda unosił się nad nimi. Bardziéj niż kiedykolwiek pragnąłem mieć jaką wiarę, gdyż w tém miejscu mówiły potężne świadki o mocy i szczęśliwości wiary.

»Któżto jest ten Ormuzd?« zawołałem, »przez którego poznanie taka wielkość się zdziałała?«

»Jestto duch wszystkiego dobrego!« ozwał się głos z za posągu króla Szapuru, »jestto duch światła, a nieprzyjaciel Arymana, ducha ciemnoty.«

Po tych słowach wystąpił z za posągu sędziwy Parsa, w odzieniu Herbuda i okazał się gotowym do udzielenia mi swéj nauki. Szedł właśnie z Atyszbudy od służby świętego ognia i miał przed ustami zasłonę, by podczas nabożeństwa śliną swoją nie zbezcześcił najświętszego żywiołu. Z dziécięcém uszanowaniem poszedłem za nim do jego pomieszkania, które stało pomiędzy kolumnami rozwalonego pałacu i prosiłem go o naukę. Łagodna twarz jego wzbudziła we mnie zaufanie, a spokojna powaga zaręczała mi za jego mądrość.

»Wszystko, co jest«, rzekł do mnie, »wyszło z piérwiastkowéj istoty dwóch duchów, Ormuzda i Arymana. — Ormuzd swojém wszechmocném słowem: Stań się! Jam jest! stworzył czyste żywioły ognia i wody, i jest doskonały, mądry, sprawiedliwy, czysty i pełen błogosławieństwa, wizerunek wiekuistéj jedności, średni punkt wszelkiéj przyrodzonéj doskonałości, piérwszy duch twórczy. Aryman zaś ten niegodziwy, zanurzony w zbrodni, jest źródłem wszelkiego nieszczęścia i wszego złego. Jest on wieczny, nieczysty, przeklęty, ma długie kolano i długi język z wszelkiego dobrego wyzuty. Jest on wiecznym przeciwnikiem Ormuzda, ducha wszelkiego dobra i w wiecznéj z nim niezgodzie. Na początku stworzył Ormuzd świat cały i mieszkańców niebieskich, ferorysów czyli aniołów. Potém stworzył sześciu Amszaspunów, archaniołów, dla obrony przeciw Arymanowi, duchowi wszelkiego złego, który w niezmiernéj odległości, plugastwem i zgnilizną okryty, nad złem przemyśliwał. Ormuzd pracując 3000 lat nad stworzeniem nieba, stworzył potém ziemię i wszystkie jéj płody. Jeden feror zeszedł z niebios na ziemię i dla wytępienia na niéj złego, przybrał na siebie postać świętego byka. Aryman zadrżał na wiadomość o wzmagającéj się

potędze swego nieprzyjaciela i wyszedłszy z głębokich przepaści w postaci ogromnego węża, zapłodnił ziemię szkodliwemi zwierzętami wszelkiego rodzaju. Pod postacią olbrzymiéj muchy, splugawił wszystko i rozlał jad wszelkiego złego w naturze. Pomocnicze jego duchy, złośliwi Dywesowie na rozkaz jego zadali świętemu bykowi śmiertelną ranę; lecz Ormuzd z prawéj nogi umiérającego byka Rodszonurza kazał powstać piérwszemu człowiekowi. Z reszty jego członków wyszły rośliny z ziarna, którém się żywił powstały byk i krowa, najpiérwsza para całego rodzaju zwiérząt na ziemi. Rodszonurz złożony był istotnie z ziemi, powietrza, ognia i wody i nieśmiertelnym duchem obdarzony. Atoli złość Arymana zniweczyła ten utwór Ormuzda w walce, która 90 lat trwała. Później dopiéro światło słoneczne zrodziło drzewo przedstawiające dwa ludzkie ciała—Maszyję i Maszyjanę. Te dały się uwieść do uwielbiania Arymana zamiast Ormuzda, i tym sposobem powiększyły potęgę złego ducha. Z nich wyszło ludzkie plemię, którém tylko złe i dobre duchy władają. Atoli Aryman nie odniesie nad Ormuzdem zwycięztwa, przyjdzie dzień sądu, a gdy człowieczeństwo najgłębiéj w zdrożnościach się pogrąży, trzéj wielcy prorocy zapowiadać go będą. Gdy dzień sądu nadejdzie, dobry anioł Kerdar przyjmie duszę sprawiedliwych na moście Kejnewardu, który łączy ziemię z niebem, gdzie Raszyrast, anioł sprawiedliwości, na tronie siedzi, i rzeknie: »Jam jest dobrym aniołem twoim, piérwiastkowo byłem czysty, ale dobre uczynki twoje jeszcze czyściejszym mnie uczyniły.« Niesprawiedliwego zaś schwyci szkaradny potwór dla rzucenia go w piekło i rzecze: »Jam jest złym duchem twoim, byłem nieczysty z początku, ale przez twoje uczynki stałem się jeszcze nieczyściéjszym. Tam będzie on znosił wielkie katusze, aż pokąd Aryman sam w dniu zmartwychwstania do dobrego się nie nawróci.«

»Wszystko dobre i złe«, rzekł Herbud daléj, »które w życiu wykonywamy, jest tylko skutkiem wpływu Ormuzda lub Arymana. Tylko kto piérwszemu służy, doznaje spokojności sumienia, gdyż Ormuzd bierze duszę jego w swoję opiekę; lecz kto drugiego uwielbia, tego dusza stanie się łupem rozpaczy. Wszelako w dzień zmartwychwstania, nawet dusze potępieńców, przez trzydniową mękę, która trzy tysiące lat katuszy w sobie zawiéra, zjednoczone, do Ormuzda powrócą i szczęśliwémi zostaną.«

»Jako?« zapytałem z ciekawością, »toż tylko trzydniowa męka przeznaczona jest za wszelkie zbrodnie w życiu?«

»Tak jest«, odrzekł Herbud.

Z upragnieniem chwyciłem się złudnego światełka zabobonnéj nauki, i prosiłem Herbuda, aby mnie tajemnic swojéj wiary nauczył. Zdawało się mi, że widzę przed sobą złe duchy Arymana i narzekałem przed kapłanem na ucisk duszy mojéj. Radą jego było, abym się poświęcił na usługi Ormuzda, który mnie uwolni od duchów moje sumienie dręczących. Z radością poszedłem za jego radą, i usługując dobrowolnie w świętych obrzędach Herbuda, zostałem kapłanem niższego rzędu przy czczeniu świętego ognia.

IX.

»Pójdź ze mną do grobu, dla przypatrzenia się tamże życiu.«

Ahi wzdychający.

Nowy szał omamienia wywołał we mnie nowych duchów udręczenia; duchy Arymana nie odstąpiły mnie, wątpliwość i urąganie samemu sobie, nagabały mnie w chwili służby Ormuzda; straszydła rozpłomienionéj mojéj wyobraźności, snuły się w nocy w około niespokojnego łoża mego. Gdym wszedł do ciemnéj Atyszbudy dla odprawiania służby przy świętym ogniu, podrzyźniającym śmiéchem urągali się ze mnie czarci piekła chrześcijańskiego.

»Biada tobie!« wołali, »bałwan Ormuzd nie wybawi cię z potępienia wiecznego. W mękach i rozpaczy będziemy ci towarzyszyć na wieki.«

Przypadek sprawił, iż niespokojność moja doszła stopnia szaleństwa. Jednego wieczora podczas wielkiéj burzy posłał mnie Herbud samego do Atyszbudy dla utrzymywania świętego ognia, mówiąc, iż gdyby ten ogień święty śród strasznéj burzy zagasł, natenczasby cała okolica spustoszona została. Z drżącém sercem poszedłem wypełnić rozkazy jego, i byłem przejęty wielkim strachem, którym Herbud mnie nabawił, wmawiając we mnie, że świątynia nie jest tak mocno zbudowana, aby się natarczywym wichrom oprzeć mogła, i że święty ogień przez złe duchy nazawsze zagasnąć może. Chwiejącym krokiem stanąłem przed ołtarzem i nalałem w płomień oliwy; aż oto nagle stanęła przed mémi oczyma postać Heleny i groźnie zawołała:

»Biada tobie! Pomnij coś przyrzekł: Nie będziesz służył cudzym bogom!«

Z przestrachu upuściłem w płomień naczynie z oliwą, ogień zagasł, a gruba ciemność okryła mnie w około. Na dworze zawyły wichry, zwiastuny straszliwéj burzy; hydne szyderskie głosy ozwały się po kątach ponuréj świątyni. Spodziéwając się nieszczęścia, które przez moje nieostrożność na całą okolicę paść miało, nie

śmiałem już wrócić do pomieszkania Herbuda, i ścigany od mściwych duchów obrażonego Ormuzda gnałem ku piasczystéj puszczy, która aż do gruzów Szapuru się rozciąga. Schroniłem się w grotę góry wznoszącéj się nad doliną i zbliżyłem się do stopui marmurowego posągu Szapuru. Posąg ten zdawał się podnosić swe ramiona dla zdruzgotania głowy temu, co Ormuzda znieważyć się poważył — z przestrachem pognałem z tamtąd w głąb ogromnéj jaskini. Ksykające węże wiły się około nóg moich, drapieżne sępy kracząc okropnie, biły skrzydłami i krążyły nad głową moją, a z pośród wilgotnych przepaści z szaleństwa twarzą wyglądało okropne straszydło zemsty; byłto duch Arymana, który wyciagając ku mnie kościste ramiona, wył podziemnym głosem: »Tyś moim na wieki!« Już mię za moje w górę wyprężone włosy chwytały ostre jego pazury, ale mój przestrach był szybszym, jak proca wyleciałem z jaskini. Niebo było zasłonione podartémi obłokami, które jak od burzy poszarpane żagle tonącego okrętu, w powietrzu gnały. Ziemia chwiała się pod mojémi nogami, jak tułów okrętu na wzdętéj fali. Błyskawica zwijała się po niebie jak powietrzny gad, rozkroiła chmury i pokazawszy migocący język krwawy, otwiérała przed oczyma mémi przepaście, które ogniem buchały. Z pośród dymiących czeluści ich wychodziły cienie poległych, których ręka moja w bitwie pomordowała. Niewidoma moc rzucała mną na wszystkie strony, szaleństwo opanowało duszę moję, a śród ciemności dał się słyszéć głos mocniejszy od gromu:

»Jam jest Bóg, a mój wyrok jest wieczny!«

A nad góra rozpostarł się w powietrzu ogromny szkielet, który skrywszy groźna swą głowę w chmurze i ciskając z rąk błyskawice, nogę swoję na mój kark wyciągnął. Byłato śmierć. Chciałem ujść z tego okropnego miejsca, ale straszydło to objęło mnie kościstémi ramiony za szyję i jak gad obwinęło się w około moich członków. W takim stanie porwał nas w górę wicher z piaskiem zmiészany; w piekielnym wrzasku pląsały w około nas złomy skał i z korzeniem powyrywane drzewa, rozpękła się pod nami ziemia, otworzyły się groty, na wyścig z gromem i wichrem ryczały zwiérzęta leśne, rozpadły się grzbiety gór wysokich, cała natura zamieniła się w chaos straszliwy! Ale śród okropnego szumu, trzasku i gromu, w gruzy walącego się świata, z niewysłowionem przerażeniem wołał przeciągły głos:

»Jam jest Bóg, a mój wyrok jest wieczny!«

Rozpacz okropna wytężyła wszystkie siły moje, wyłamałem się z straszliwych ramion szkieletu, uczépiłem się konwulsyjnie nogami i rękami ziemi, na którą lecąc w powietrzu stanąłem, duch mój zmącony, usiłował rozpaczliwie wszelkiémi sposobami uwolnić się od okropnych widziadeł. »Precz odemnie omamienia piekielne!« zawołałem i pognałem na szczyty gór wysokich po rumowisku, które wichry w dół ztoczyły.

Lecz nadaremnie! żałośnie jęczące cienie ofiar moich, gnały za mną w ślad bez spoczynku i ze wzgardą wołały:

»Jest Bóg, któregoś odprzysiągł! A tyś potępiony!«

Z twarzą konającą wystąpił przedemną cień matki mojéj i rzekł:

»Wiecznie trwa męka potępieńców!«

Krokiem śmiertelnéj trwogi pognałem na wiórzchołek skalistéj góry. Z tamtąd ujrzawszy przepaść u nóg moich, wichrzony szaleństwem i rozpaczą, stanąłem na krawędzi, i gdym się w dół rzucił, opuściły mnie zmysły.«

XII.

Niewiém co się ze mną stało, ale gdym przyszedł do siebie, umysł mój jakby cudem wyzdrowiał z téj strasznéj choroby, która nim przez długi czas miotała. Porzuciłem zwodnicze kuglarstwo perskiéj bałwochwalnéj wiary, i przyjawszy dobrowolnie u pewnego kupca z Szyrazu służbę niewolnika, mając na nowo ufność w Bogu, znosiłem z prawdziwą chrześcijańską cierpliwością hańbę i wszystkie trudy położenia mojego. Służyłem u niego lat pięć i pomagałem wiadomościami mémi do pomnożenia mu majątku. Kupiec ten przekonawszy się, że majątek jego znacznie się pomnaża, zaczął się obchodzić ze mną jak z przyjacielem, nazywał mnie swym bratem i wolność mi powrócił. Jednakże prosił mnie, abym mu jako przyjaciel i nadal dopomagał i nie przestawał zajmować się jego handlem, który po obcych krajach rozprzestrzeniać się zaczynał. Najpiérwszém jego przedsięwzięciem w téj mierze było wysłanie karawany do Syryi, z tamtąd zamyślił popłynąć do Grecyi, by w Atenach wymieniać mógł towary. Powierzył mnie kierunek téj wyprawy, nie wiedząc, że ja tylko z niebezpieczeństwem życia w kraj turecki wstąpić mógłem. Z tém wszystkiém postanowiłem odpowiedzieć godnie jego zaufaniu, i na wszelki sposób wypełnić tak niebezpieczne dla mnie żądanie jego. Karawana puściła się w podróż, przeszliśmy przez Mezopotamiję i Syryję szczęśliwie, a na wybrzeżu Śródziemnego morza naładowałem okręt towarami. Szczęście sprzyjało mojéj podróży, pogodne niebo i wiatr pomyślny

przyspieszały moję żeglugę. Piękne wyspy Archipelagu: Kandyja, Rodus, Naksos, Syfonte i Zea, mknęły po przed nas jak zachwytne czarodziejskie obrazy. Witałem je radośném sercem, gdyż należały do kraju moich pra-ojców, a kwitnące ich doliny zaludnione były plemieniem tegoż samego szczepu, którego szlachetna, gorąca krew płynęła w żyłach moich. Z tęsknotą wyciągnąłem moje ramiona i błogosławił mojéj ukochanéj ojczyźnie. Jako powracający syn, ze łzami w oczach witałem starożytną Helas, a mnie nawzajem witały rodzinne jéj zagrody. Byłoto toż samo łagodne niebo, pod którém wzrosłem, słodka, ojczysta mowa brzmiała w pozdrowienie moje, z ust mieszkańców. Znane mnie ptaki śpiéwały w gajach i rodzinne obyczaje zachodziły mi drogę po ulicach i przyjmowały mnie w pomieszkaniach greckich!

Zawinąłem do Aten i zdawało się mi, jak gdybym już od niepamiętnych czasów w tém mieście był zamieszkały.

Stefanos zwał się kupiec, z którym ułożoną wymianę towarów miałem przywieść do skutku. Zastałem go w porcie siedzącego na bali towarów z założonémi na krzyż nogami i żującego tytoń przeciw wszelkiému zwyczajowi greckiemu. W około niego siedzieli inni kupcy, których Stefanos gościnnie tytoniem uraczał. Zacząłem z nim rozmowę, lecz nie zaraz doznałem gościnnego przyjęcia. Wysłuchawszy z wlepionym w ziemię wzrokiem mego żądania, zamiast dania mi odpowiedzi, podniósł obojętnie oczy do góry, przypatrzył się mojemu cudzoziemskiemu ubiorowi, a potém zapytał, jakiéj jestem wiary?

»Dla czegoż chcesz o tém wiedzieć«, odrzekłem.

»Ponieważ nadmienione towary«, odrzekł Stefanos z wielką obojętnością, »wtedy tylko tak tanio mógłbym ci puścić, gdybyś był Chrześcijaninem, czém się mi być nie zdajesz. A jeżeli mię powtórnie o przyczynę zapytasz, więc powiém ci, że taka jest moja wola, i że Muzułman — a zwłaszcza Parsa taki jak ty — nierównie ma mniejszą u mnie wartość, niż prawowierny Chrześcijanin.«

Osobliwsza odpowiedź ta i sposób jego zachowania się, spowodowały mnie do przypatrzenia się dokładniéj Stefanosowi. W sposobie obejścia się jego znalazłem wiele podobieństwa, które dawne czasy mi przypominało; atoli wszystko to było tak dalece pomieszane z obczyzną, żem domysłu pamięci mojéj objawić nie śmiał.

»Czemużto tak mocno wpatrujesz się we mnie?« zapytał Stefanos, »jak uważam, widok Chrześcijanina jest dla ciebie tak rzeczę nową, że się uspokoić nie możesz. Ponieważ przyjacielu żadnéj wiary nie wyznajesz, nie sądzę więc, abyśmy w jaki handel z sobą wejść mogli.«

Głos ten wszelką wątpliwość usunął. »Na wszechmocnego Boga!« rzekłem mocno wzruszony, »tyś Mustafa, albo jego brat rodzony!«

»A ja powiadam ci, jak Machomet jest kłamliwym prorokiem«, odrzekł z gniewem Stefanos i zabiérał się do opuszczenia portu, »że się całkiem mylisz. Mustafa, o którym mówisz, chociaż bardzo zacny człowiek, w innym względzie przecież był psem tureckim, a przeto Stefanosem być nie może.«

Kupcy w około nas stojący roześmiali się na te słowa, dając mi do zrozumienia, że się nie omyliłem; atoli Mustafa zapłoniony na twarzy, zabrał się już do odejścia i chciał mnie w wątpliwości zostawić. Lecz ja zastąpiłem mu drogę, i zrzuciwszy parsyjską czapkę, pokazałem mu bliznę piérwszéj rany, po któréj mnie koniecznie poznać musiał.

»Mustafo«, zawołałem, wyciągając ku niemu ramiona, »dla czegoż uciekasz przed największym dłużnikiem swoim?«

»Achmedzie — Andrzeju — nieszczęśliwa siéroto« — wyjąknął Mustafa i więcéj wymówić nie mógł.

»Przebaczaszże mi?« zapytałem ściskając go serdecznie.

»Ty żyjesz!« rzekł z radością. Stare, zwątlone siły wiernego przyjaciela, nie zniosły tego wzruszenia umysłu. Osłabiony, zachwiał się i musiał usiąść dla odpoczynienia. Gdy zwolna przychodził do siebie, zadawałem mu różne pytania, ale on w myślach zatopiony, i jak się zdawało, jakiémeś przedsięwzięciem zajęty, uśmiéchał się tylko na moje zapytania i ciągle powtarzał: »Ty żyjesz!« Po niejakiéj chwili milczenia podniósł się i wziąwszy mnie za rękę, zapytał głosem surowym:

»Jestżeś Chrześcijaninem?«

»Jestem znowu«, odrzekłem, kładąc rękę na piersiach, »i noszę w sercu Zbawiciela ukrzyżowanego.«

»Pójdź więc za mną!« rzekł, i poprowadził mnie z sobą. Szepcąc coś sam do siebie i radośnémi myślami zatrudniony, wszedł ze mną do pięknego, różanémi ogrodami otoczonego domu. Na kilkakrotne zapytania moje, odpowiadał z uśmiéchem w tajemniczym sposobie. »To prawda, kogo Bóg kocha, na tego dopuszcza nieszczęścia!« Gdy to wyrzekł, otworzyła drzwi jakaś stara matrona, którą Mustafa pocichu o coś zapytał.

»Właśnie czas na modlitwę«, rzekła matrona.

Oczy starca radością zajaśniały, gdy mu to oznajmiła. Potém umaczał palce w naczyniu

święconą wodą napełnionem i pokropiwszy mnie i siebie, rzekł z pobożnością: »Niech będzie błogosławiona chwila twego przybycia.«

Zachodzące słońce rozlało pas złocisty na szczyty gór Morei, łagodny, wonny chłód ziejące wietrzyki szepcąc po palmach i krzewach różowych, orzeźwiały gorące powietrze; w przyległych gajach opiéwały słowiki swoje uczucia miłosne.

Słodka posępność osiadła na całéj dolinie, i zwolna przeciągał duch piękném przyszłości po przed moję przeczuwającą duszę. W milczeniu szliśmy drożyną po obu stronach z hyjacyntów sadzoną ku cyprysowemu gajowi, skróś którego szemrzących listków, złotym zdrojem promieni wieczorna zorza uroczo przeglądała. Z drżącą niespokojnością i z wilgotném okiem idąc, chciałem wybadać tajemnicę, o któréj mi radośna niespokojność mojego przyjaciela domyślać się kazała, że będzie dla mnie wielkiego znaczenia. Wtém spostrzegłem dwie postacie, które do gaju się zbliżały. Mustafa położywszy palec na ustach, ukrył mnie w gęstwinie, z kąd niepostrzeżeni mogliśmy swobodnie przypatrzyć się tym wędrowcom samotnym. Jakaś młoda, piękna niewiasta, trzymając za rękę małego chłopca, szła powolnym krokiem przez kwiecistą murawę do skromnego marmurowego grobowca, który wysokie drzewa ocieniały. »Przeczytaj napis«, rzekł Mustafa, ścisnąwszy mnie czule za rękę. — Ostatni promień zachodzącego słońca oświecał jeszcze złote głoski, a ja wpatrzywszy się w nie, wyczytałem z radośném zadziwieniem to słowo: Andrzejowi. W téjże chwili spojrzałem w twarz niewiasty, która pobożnie razem z chłopcem uklęknąwszy, pomnik wieńczyć zaczęła. Byłato Brygita! Ze śnieżnych niegdyś lic jéj wionęły dziewicze róże, z oczu jéj mówił zadawniały smutek, a czoło jéj było uświęcone znamieniem nieszczęścia! Strumień łez puścił się z óczu moich. Widok ten był zarazem radośny i bolesny.

»Dzięki ci wszechmocny Boże!« rzekł Mustafa, gdy spostrzegł wzruszenie moje.

Łzy pobożności błysnęły także w oczach Brygity. Złożywszy chłopięciu rączęta, kazała mu za sobą powtarzać słowa modlitwy: »Ojcze w niebiesiech, bądź miłościw duszy jego!«

»Brygito!« zawołał Mustafa, nie mogąc już dłużéj wstrzymać swéj radości, »Andrzéj żyje, jest tutaj!«

Zapłoniony wstydem i do żywego wzruszony wyskoczyłem z za krzaka i rzuciłem się do nóg tego anioła. Brygita wykrzyknęła i zakrywszy sobie oczy rękami, wsparła się na pomniku. Z drżeniem przytulił się chłopiec do jéj ramienia i usiłował ją uspokoić. Byłato uroczysta chwila walki dusz pięknych, byłto duch boży, duch wiekuistéj miłości, który nas otaczał! Po niejakiéj chwili milczenia, objąłem Brygitę mojemi ramiony. Łkając od płaczu, przytuliła twarz swoję do mojéj piersi i rzekła: »On żyje, i kocha mnie!«

»A ty, Brygito!« zapytałem trwożliwie, »będzieszże mnie kochała?«

Brygita zamiast odpowiedzi z pośpiechem i dziecięcą radością wskazała na uwieńczony pomnik, na pierścień na swym palcu, i na chłopca, który z rozkazu jéj lękliwie do nas obojga się przytulił.

»Ucałuj go, i przyciśniéj do twego serca«, rzekła z płaczem, »wszakto twój syn!«

»Przedwieczny Boże«, zawołałem wzniosłszy oczy do nieba, »byłżem ja godzien tak wielkiéj, uszczęśliwiającéj łaski twojéj!« W jéj wierném sercu mieszkał obraz mój nieustannie, ona owoc miłości mojéj skłoniła na zawsze czcić pamiątkę moję! Żadna myśl narzekająca, żadna zemsta nie zamieszkała w jéj duszy gołębiéj, dobroci pełnéj, sama nawet boleść, któréj z mojéj przewiny doznawała, była dla niéj drogiém o mnie wspomnieniem! Kiedy mnie wierny przyjaciel i świat cały potępiał, jéj kochające serce roniło tylko łzy i modliło się za mnie!

Jednakże pośród tego niewysłowionego szczęścia, okropna myśl powstała we mnie. »Biada mi! rzekłem, »Brygito, synu mój, rozkosze duszy mojéj! Ujrzałem was, abym was znowu na zawsze utracił! Jestem wygnańcem i dla uniknienia sprawiedliwego gniewu mych nieprzyjaciół, po obcych krajach tułać się muszę!«

»Uchowaj Boże!« rzekł Mustafa z radością, »Abdul Hamid, któregoś obraził, już nie żyje, a spaniałomyślny następca jego przebaczył wszystko, i wszelką przeszłość w niepamięć puścił.«

Na te słowa wzięliśmy się ze łzami w oczach za ręce, przemożne uczucie wdzięczności pochyliło nasze głowy, upadliśmy kornie na kolana. Gorące, dziękczynne modły trojga szczęśliwych ludzi wzniosły się w niebo, i odtąd zostaliśmy w tem życiu nazawsze z sobą złączeni.

Miło przyświécały nam gwiazdy, gdyśmy zgromadzeni w różowéj altanie, koleje losu naszego wzajem sobie opowiadali. Z żalem, ale bez zarzutu słuchała Brygita wszystkich srogich udręczeń, których dusza moja doznała. Nawet miłość moja ku Helenie nie wzbudziła w czystém jéj sercu niemiłych uczuć. »Tą miłością chciał Bóg oczyścić duszę twoję«, rzekła uniewinniając mnie, »nikt gorliwiéj odemnie nie modlił się o pomyślność twoję. Z większym udziałem miłości, niż z ciekawością i podziwieniem poglądałam na świetne czasy sławy twojéj.« Łagodnego wyroku doznały moje wyznania przed sądem miłości Brygity i przyjaźni Mustafy. Dawno już u obojga zyskałem przebaczenie i tylko na nieubłagany mój los narzekali. »Jam ci winien więcéj, niż wiesz o tem«, rzekł Mustafa. »Nieszczęście twoje, którego ja po części byłem przyczyną, żem cię zachęcał, abyś przyjął wiarę machometańską, nawróciło do prawdziwego zbawienia nurzającą się w obłędzie i nierozsądku duszę moję, i natchnęło mnie do przyjęcia wiary chrześcijańskiéj, za odstąpienie któréj tak surowo byłeś ukarany! Gdym widział jak tobą zapamiętała duma i namiętność po rozdrożach świata nieustannie gnała, jak puszczając cugle dzikiéj żądzy, niedoznawałeś ani szczęścia ani spokoju; wtedy już ocknęło się sumienie moje, i tylko to przekonanie, żem był przyczyną twego nieszczęścia, skłoniło mnie przychylić się do zamysłów twoich, które mnie na zgubę powiodły. Gdym nakoniec od ciebie opuszczony, leżał przy moich martwych skarbach, i oczekiwał zatonięcia okrętu, wtedy uczułem wyraźnie zemstę niebios, nieszczęście moje uznałem za karę zasłużoną i za wyraźne skinienie nieba. Wtedy ślubowałem tajemnie Bogu, że gdy mnie z téj niedoli wybawi, zrzeknę się błędu i odstąpię przykazań islamizmu. Zaledwie, żem to postanowienie uczynił, już żołnierze Wielkiego Sułtana zbliżyli się na okręcie do mego statku i zabrawszy go, skrępowali mnie i z sobą uwieźli. Stawiono mnie przed sądem Wielkiego Sułtana. Wyznałem, że wywdzięczając się za dobrodziejstwa, których od ciebie doznałem, chciałem cię ratować, ale nie zaniedbałem oraz opisać zbrodniczego charakteru Ibrahima. Bóg oświecił serce Wielkiego Sułtana, przebaczył mi przewinienie moje, i nakazawszy zwrócić mi statek, poprzestał na zabraniu pewnéj części mego majątku za to, żem się ważył wspiérać wygnańca. Ibrahima zaś ukarał surowo i posłał go na wygnanie, gdzie niezadługo w nędzy życie zakończył. Skruszoném sercem podziękowałem Bogu za moje ocalenie, poczém potajemnie przyjąłem chrzest święty i religiję chrześcijańską. Jednakże, aby się w Stambule nie dowiedziano, żem

przeszedł na inną wiarę, dla bezpieczeństwa upatrywałem sposobności do wyniesienia się z kraju. Jednego dnia gdym właśnie zajmował się wykonaniem mego zamiaru, wezwano mnie do umierającego cudzoziemca, który mi kazał oznajmić, że mi ważną wiadomość ma powiedzieć. W lichéj chacie zastałem kapitana, któremuś Brygitę powierzył. Ciężko raniony opuścił on zbrojnych Albańczyków w chwili, gdy pozbawieni naczelnika i żołdu, w pojedyncze zbójeckie hordy rozpraszać się zaczęli. Dowiedziawszy się o twojém nieszczęściu, poczytał sobie za najpierwszy obowiązek, wynalezienia dla Brygity i jéj dziecięcia bezpiecznego przytułku, zanim w skutek ran i niedostatku, z tym światem się pożegna. Słyszał on, że jestem twym przyjacielem, i uwielbiając poświęcające się przywiązanie moje ku tobie, zaklinał mię, abym obiedwie sieroty przyjął w swoję opiekę. Przyrzekłem mu uroczyście, że będę miał o nich staranie, aż pokąd mnie powrót twój od tego obowiązku nie uwolni — i widzisz, żem dotrzymał mojego słowa.«

Związek tych wypadków stał się dla mnie nieprzebraném źródłem pociechy. Już nic w świecie nie zdołało zapalić méj dumy; odtąd powstała we mnie jedyna chęć nawracać zbłąkanych na drogę prawdziwego zbawienia, zbijać ich przesądy, wykorzeniać zabobony i przez rozkrzewianie poznania jednéj i nieomylnéj prawdy, przyczyniać się do powszechnéj szczęśliwości człowieka.

Z tych myśli powstało na przyszłość moje przedsięwzięcie. Przeszedłszy przez tak smutne koleje losu, poznałem moje właściwe przeznaczenie i postanowiłem owoce mego poznania poświęcić ku zbawieniu mojéj ojczyzny. Naładowawszy okręt towarami, odesłałem go rzetelnie memu parsyjskiemu przyjacielowi, a z gruzów staro-heleńskich pomników, wystawiłem dla siebie i swojéj familii pomieszkanie. Stan kapłana greckiego, który w serca pokolenia ludzkiego wszczepia zasady wiary i obyczajów, który będąc opowiadaczem pokoju pociesza, uprawia i czyści umysł ludu, który jako zwiastun zbawienia rozprasza duchy niedowiarstwa, nienawiści i niezgody, duchy, które się w uczucia i myśli ludu wkradając, sieją ziarno złego i nieszczęścia—ten stan zdał się być dla mnie najwłaściwszym. Tym sposobem w cichym zakresie moim, byłem czynny dla przyjaciół i gmin przyległych, oddalony od zgiełku świata.

Uspokojona dusza moja oddała się rozmyślaniu, nie dla tego, abym docieki tajemnicy nigdy nie pojętéj, ale abym wpatrując się w związek i harmoniję tych wszystkich przeogromnych, jedném wszechmocném słowem w byt powołanych światów, ducha mego, pragnącego prawdy, coraz bardziéj udoskonalał, oświecał, i czcił twórcę wszelkiego jestestwa.

Brygita, chrześcijańska małżonka moja, zostawszy powtórnie matką, w nieodmiennem przywiązaniu mojém i w gronie lubych dzieci, zapomniała wkrótce o siedmioletnim smutku. Jéj niewinny, swobodny umysł i zadowolona spokojność Mustafy, były zwierciadłem mojéj własnéj szczęśliwości.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 6. i obejmuje: 1) O uprawie tytoniu. (Dokończenie). 2) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków, ogłoszone przez Edwarda hrabię Raczyńskiego. (Ciąg dalszy.) 3) Korespondencyja.

Lwowianina, przeznaczonego krajowym i użytecznym wiadomościom, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt siódmy opuścił prasę dnia 12go lutego r. b.

W piśmie czeskiém *Dennice*, w poszycie czwartym tomu drugiego z r. 1840 czytamy artykuł: *Trefniś króla Jana III.*, przełożony przez p. Weselskiego z *Rozmaitości* naszych, z r. 1839 Nr. 43.

Fakir żywcem zagrzebany. Dziennik *Satellit* zawiera list otrzymany od znanego siedmiogrodzkiego podróżnika Marcina Honigbergera z Lahory. Podróżny ten donosi między innémi o pewnym fakirze, który się już kilkakrotnie na dość długi czas żywcem w ziemię zakopać kazał, a przecież jeszcze żyje. Człowiek ten uskutecznia to w sposób następujący: Przez ośm dni, nim go zakopią, czyści sobie żołądek, i używa oszczędnie raz na dobę mlécznego pokarmu. W dniu, w którym się ma odbyć osobliwsze to doświadczenie, dla lepszego wyczyszczenia sobie żołądka i wnętrzności, połyka długi, wązki, oddarty pas płótna, który znowu z siebie wyciąga. Potém korzenną mieszaniną z wosku, którą sam sporządza, zatyka sobie uszy, oczy, nozdrza i t. d. zgoła wszystkie otwory ciała; po chwili następują konwulsyje, podobnie jak u człowieka duszącego się, i nagle wszystkie funkcyje życia ustają. W takim stanie jeszcze za króla Rundszyd-Synga, zawiązano go w worek, który król własną ręką zapieczętował, poczém zamknąwszy go w klatkę, zaniesiono do ogrodu pewnego ministra za miastem i tam go w ziemię zagrzebano. Grob ten przykryto deskami i ziemią, na któréj jęczmień posiano, a cały plac w niejakiéj odległości opasano wysokim murem i postawiono straż tak, izby żadne oszukaństwo nie zaszło. Dnia czterdziestego, jako w dzień wyznaczony, otworzono grób w obecności króla, kilku ministrów i jenerałów, a między tymi w obecności jenerała Ventura, pułkownika Wade i pewnego angielskiego lekarza. Znaleziono fakira w takim samym stanie, w takiém samém położeniu i w zapieczętowanym worku. Lékarz nie mógł się w nim domacać pulsu, ciało było śmiertelnie blade, zimne, tylko głowa była cokolwiek ciepła. Wtedy podług rozporządzenia tegoż fakira, obłożono mu głowę gorącém, korzenném, niedopieczonem ciastem z mąki owocu zboża strączkowego, poczém niezadługo z nozdrzów z hukiem wyleciały zatyczki; inne zaś zatyczki rękami poodejmowano. Po kilku-godzinnem, ciągłem nacieraniu odzyskał fakir zwolna życie i przytomność umysłu.—Tenże sam fakir leżał pewnego razu cztery miesiące zakopany w ziemi i przed samą operacyją kazał sobie ogolić brodę. Gdy go wykopano, broda jego była tak gładką, jak gdyby ją dopiero ogolono.

Postęp cywilizacyi w Turczech. W dzienniku *Morning-Chronicle* pod napisem: Korespondencyja z Konstantynopola, czytamy co następuje: Dnia 12go grudnia pod wieczór, rozpoczęły się w chirurgicznéj szkole odczyty anatomiczne. Pierwszych trupów do tego celu dostarczają szpitale chrześcijańskie, dopokąd Muzułmanie z tym postępem w zawodzie umiejętności dokładniéj się nie obeznają; późniéj zaś wszystkie szpitale stolicy trupów dla anatomii dostarczać będą. Powiodło się także usunąć przesąd, w skutek którego zwolennikom koranu nie wolno było mieć u siebie żadnego obrazu. Niedawnemi czasy pisma publiczne donosiły, iż niemiecki malarz Kretschmar miał zaszczyt odwizerunkować Wielkiego Sułtana, a teraz znowu nadmieniają, że takiegoż samego zaszczytu angielski malarz Sir Dawid Wilkie dostąpił.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.